

Trybuna Maszowicka
24-IV-1956

Sam tego chciałeś Grzegorzu...

NAJPIERW zasadnicze pytanie: czy Grzegorz Dyndała budzi śmiech, czy też litość? Nie ulega wątpliwości, że poprzez swój „społeczny awans wplątał się w paskudną kabałę, że jest wystrychnięty, i to kilkakrotnie, przez żonę na dudka, że obok cierpień moralnych musi znosić bardzo konkretne cierpienia fizyczne w postaci obitego kijami grzbietu. Powody świętując zupełnie dostateczne, żeby wzbudzić litość u najbardziej niezulego widza. A jednak...

Któż to jest ów Grzegorz Dyndała, a raczej pan na Dyndałach? Wzbożony chłop, który ożenił się ze szlachcianką. Nie było to oczywiście małżeństwo z miłości. Po prostu rodzice Angeliki, żony Dyndały — baronostwo Gapiomiejscy — podreperowali poprzez ten ożenek swój, mocno nadzarpnięty majątek, a Grzegorz zaspokoił swoją ambicję, stając się członkiem arystokratycznej „familii“.

Tak więc obie rodziny zrobiły dobry interes, w którym z jednej strony pieniądze, a z drugiej megalomania dorobkiewiczza odgrywały główną rolę.

Czy w takiej sytuacji może Dyndała wzbudzać litość? Nie! Podkreśla on, i to zresztą niejednokrotnie, sam, mówiąc skrystalizowane słowa, które stały się ludowym przysłowiem francuskim: „Sam tego chciałeś Grzegorzu!“. Nie jest on żadnym ucieleśnieniem nieszczęśliwego chłopca, wyzyskiwanego przez feudała — jak

to próbowali tłumaczyć niektórzy nadgorliwcy. Jest całkiem zwyczajnym rogiaczem, którego gnębi nie tyle fakt zdrady ze strony niekochanej żony, ile chroniczny brak okazji, żeby tę zdradę udowodnić.

Wszystkie jednak wysiłki Dyndały spełzają na niczym wobec sprytu Angeliki i jej wfernej pokojówki Klaudyny. Ta Klaudyna to też niezłe ziółko. Patrzy przychylnym okiem na zalotnika swej pani Klitandra, ponieważ potrafi on dobrze zapłacić za rafurskie usługi, u Dyndały zaś łatwiej o kije niż o dukaty.

Tak więc Grzegorz nie budzi litości. Budzi natomiast niewątpliwie śmiech. I nic więcej...

Swego czasu Boy pisał: „Molier sprawił, iż nie przestając bawić, komedia stanie się głębokim studium duszy ludzkiej, malowidłem obyczajów“. Czy „Grzegorz Dyndała czyli mąż pognębiony“ (tak brzmi bowiem pełny tytuł komedii) jest tym „głębokim studium duszy ludzkiej“? Zarzykowałbym stwierdzenie, że dla dzisiejszego widza nie jest to studium duszy ludzkiej, a przynajmniej nie głębokie studium. Sama postać Dyndały, która stała się swego czasu przedmiotem generalnego ataku, zarówno ze strony arystokracji jak i duchowieństwa, trochę wyblakła, jego perypetie, wprawdzie bardzo zabawne, nie mają tej wymowy społecznej, którą



miały 200 czy 250 lat temu. „Grzegorz Dyndała“ to nie wlecznie aktualny Skapiec, Świętoszek, czy Mizantrop.

Danuta Pietraszkiewicz, która reżyserowała „Grzegorza“ w Teatrze Powszechnym, zatraciła trwałą wartość tej komedii: jej „śmiech. Wskutek tego „Dyndała“ wypadł raczej moralizatorsko, przy czym widz niewątpliwie gubi się w domysłach, na czym polega morał sztuki. Czy na tym, że nie należy zdradzać niekochanych mężów? Czy na tym, że nie należy wciskać się do wyższej klasy społecznej?

Z „Dyndały“ można było i należało zrobić nawet farsę. Pozwoliliby to na wydonyca całej „komediowości“, a stonowałoby trochę archaiczny „wydźwięk“. Tymczasem jedynymi akcentami farsowymi były „kostiumy, które same przez się, zwłaszcza kostiumy baronostwa Gapiomiejskich i fircyka Klitandra wzbudzały śmiech widowni.

Największy ładunek komizmu znalazł się w inscenizacji warszawskiej w III akcie, podczas gdy poprzednie akty, zwłaszcza pierwszy, były sztywne.

Gra zespołu była na ogół wyrównana, Dobrze potraktowa-

wał swoją rolę Jerzy Tkaczyk (Grzegorz Dyndała), chociaż (i tu znów wracam z uporem do swojej poprzedniej tezy) mógł wydobyc z postaci Dyndały jeszcze więcej komizmu, nie bać się nawet pewnego przeszarżowania.

Trafnie wcielił się w postać gapiowatego sługi Klitandra — Lubina Antoni Jurasz. W scenie nocnych poszukiwań miał doskonale momenty. Stanisław Prokuratorowski był poprawnym Klitandrem, bardzo fircykowanym i trochę podszitym tchórzem zalotnikiem Angeliki. Podobali się również Wanda Jarszewska i Kazimierz Janus jako baronostwo Gapiomiejscy.

Trudno się natomiast zgodzić z takim ujęciem roli, jakiego pokazała Maria Seroczyńska (Angelika). Za dużo dała u niej patosu, za dużo wbiła słości i lodowatej dumy, a mało komizmu. Sytuacjech tował trochę finał III akta.

W pozostałych rolach wystąpili: Danuta Mance (naturalna i figlarna Klitandra) i Aleksander Piotrowski (Pietrek).

Mimo tej, w zasadzie pozytywnej oceny gry aktorów, przedstawienie rozczarowało tych, którzy przyszli przede wszystkim na komedię w całym jego znaczeniu. Ale to już inna sprawa, czyżby pretensje pod adresem reżysera.

Dekoracje Zenobiusza Strzeleckiego pretensjonalne i nieciekawe,

Tadeusz Frey